

BARTOSZ JASTRZĘBSKI
Uniwersytet Wrocławski

Porażka, zło, bezsens jako tabu

Ludzie boją się, że nic nie ma sensu. Że wszystko, co robią, jest absolutnie bez znaczenia, zupełnie tak, jak samo ich pojawienie się w świecie, o które ani nie prosili, ani też nie mieli możliwości się od niego uchylić. I nie są to bezpodstawne obawy, ponieważ nie sposób nie postrzegać rzeczywistości – przynajmniej czasami – jako bezładnego, przypadkowego splotu przypadków, warunkujących sytuacje, w które zostajemy wrzuceni i określających tym samym nasze reakcje i działania. Splotu niedającego nadziei na jakiegokolwiek jego rozwikłanie czy usensownienie, choć próby uczynienia przejrzystym meandrów własnego losu stanowią niezbywalną funkcję ludzkiego umysłu, tak jak konstytutywną cechą ludzkiego działania jest wiara w to, że może ono przekształcać rzeczywistość w ten sposób, by przyjęła ona porządek wywiedziony z człowieczego zamysłu. I jedno, i drugie, usensownianie i działanie, wydają się niekiedy udawać, wywołując czarowne, lecz złudne wrażenie, iż życie poniekąd nam uległo, poddało się narzuconym mu kategoriom i celom, stało się grzeczne i powolne, oddając nam do dyspozycji swe uroki, oddając się nam w całości. To wspaniałe chwile pocucia mocy, ekstazy wynikającej z podążania równym i twardym traktem bycia, tym lepszym, że przez nas samych uczynionym, na przekór bagiennym trzęsawiskom rzeczywistości rozpościerającym się po obu jego stronach. O tych to momentach ludzie mówią często i chętnie, uwieczniają je w dziełach literackich, filozoficznych, w sztuce i muzyce, są one bowiem świadectwami ich zwycięstw, a przez to poświadczeniem jednostkowej wartości i sensowności istnienia.

Bywają jednak niestety – i to wcale nierzadko – zupełnie inne chwile. Takie, że plany oparte na skrupulatnie – by się wydawało – wypracowywanej interpretacji rzeczywistości walą się, czasem zupełnie nagle, w gruzy. Dzieje się tak pod naporem nieoczekiwanych, często groźnych i tragicznych wydarzeń bądź na skutek wewnętrznej słabości lub załamania, które powodują, że nie sposób iść dalej wyznaczoną drogą. Pojawia się wówczas potworne, przygniatające poczucie życiowej klęski, z której wypływają rozgoryczenie, zawód, smutek, rozpacz i w końcu beznadzieja. Oto przydarza się porażka, bolesna i upokarzająca przez to, że uświadamia fundamentalną przygodność życia i nie mniej rudymenarną zawodność ludzkich projektów i zamierzeń, nagle ukazanych jako ledwie grzebanie patykiem w ruchomych piaskach. Ta klęska to doświadczenie zła, które nadeszło z zewnątrz lub wynurzyło się z głębi jestestwa. Zrazu wydaje się, że można

go było uniknąć, że wystarczyło nieco dokładniej opracować konieczne i wystarczające warunki pożądaných stanów rzeczy i rzetelniej przyłożyć się do tego, by warunki te zostały spełnione. Później pojawia się myśl, że wina jest gdzieś na zewnątrz, bardzo konkretna i wyraźna: zawinił drugi człowiek, instytucja, układy, polityka, ekonomia. To któreś z nich lub wszystkie razem złośliwie, a nawet podstępnie, spowodowały, że nic nie wyszło. Jeszcze później staje się wyraźne, iż przyczyny porażki są mnogie, nitki tych przyczyn rozchodzą się we wszystkich kierunkach, jej początki sięgają daleko wstecz, ginąc w pomroce przeszłości, sama ona była wtedy niewątpliwie nieunikniona, a zatem jeśli coś jest tu winne, to po prostu konstytucja świata w ogóle – że jest taki oto. I właśnie wówczas – gdy utkana z prostych, przewidywalnych czynności i małych nadziei zwyczajna codzienność popada w ruinę, by potem rozproszyć się i zaniknąć jak mgła lub senny majak – świat ów jawi się jako bezsensowny lub wręcz wrogi i zły. I o tym także na przestrzeni dziejów ludzie mówili, opiewając w pieśniach upadki, klęski i tragedie. Obwieszczali otwarcie ludzką słabość, nieodporność na anarchiczne kaprysy biegu rzeczy. Przyznawali się do tego, że powalił ich los, zdruzgotała sytuacja, zadrwiło okrutnie przeznaczenie, że przeto projekty ich wszelkie wniwecz zostały obrócone, bo spodobało się bogom lub gwiazdom przygnieść ich cierpieniem. Być może dlatego nie unikano mowy o tym, co negatywne, ciemne i bolesne, iż wierzano, że upadek stanowi niekiedy wielką próbę, w której winien człowiek poświadczyć siebie, swe ostateczne męstwo wobec najbrutalniejszego nawet życia, być może zaś dlatego, że porażka wydawała się czymś nieuniknionym i – chciałoby się rzec – naturalnym w przypadku upadłej istoty zamieszkującej w poddanym marność światu. To, co negatywne, nie było wtedy przemilczane i ukrywane. Przeciwnie: z dzisiejszej perspektywy patrząc, wydaje się, iż doświadczeniem życiowej i moralnej klęski niemal epatowano, traktując je najwyraźniej jako pokutę, przywołanie do porządku, odarcie z pychy i arogancji, słowem, słuszną nauczki lub przestrożę, o której pamięć – z racji oczywistej i bezcennej pedagogicznej wartości – nie powinna zaniknąć. Konieczność przeżycia klęski głoszono wtedy z ambon i portyków filozoficznych szkół. I tak już przed wiekami powiadał cesarz-filozof, gromiąc bezlitośnie barbarzyńskich Machomanów w północnej Dalmacji: „Długość życia ludzkiego – to punkcik, istota – płynna, spostrzeganie – niejasne, zespół całego ciała to zgnilizna, dusza – wir, los – zagadka, sława – rzecz niepewna. Krótko mówiąc, wszystko, co związane z ciałem to rzeka, co z duszą to sen i mara. Życie to wojna i przystanek chwilowy w podróży, wspomnieniem pośmiertnym – zapomnienie”¹. Uzyskiwaną dzięki takim i tym podobnym medytacjom pokorę, gotowość na przyjęcie ciosów, przytomność co do własnych szans uważano za fundament życiowej mądrości: to, co mroczne, przygnębiające, musi być jawne i wciąż obecne w myśli, wówczas

¹ Marek Aureliusz, *Rozmyślenia*, przeł. M. Reiter, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2008, s. 23.

przynajmniej nie dopadnie znienacka; lepiej więc już zawczasu spoglądać temu w twarz.

Dzisiaj jednak jest zgoła inaczej: bezsens, porażka i zło stały się tematami zakazanymi lub co najmniej niemile widzianymi, kwestiami, których lepiej nie poruszać nawet w rozkosznym świetle dnia, tym bardziej zaś w nocnej ciemności. Stały się problemami jakoś wstydliwymi, absolutnie nienadającymi się do tego, by mówić o nich – nawet najbliższymi. Traktuje się je często jak wizyty w toalecie: wiadomo, że się przydarzają, jednak rozmawiać o nich byłoby co najmniej nietaktem, niesmakiem bądź nawet wywołującym zażenowanie blamażem. I tej właśnie zmianie chciałbym się przyjrzeć.

Oto więc tematy zakazane, będące tabu, rozpoznajemy dzięki charakterystycznym symptomom pojawiającym się wówczas, gdy zostaną one poruszone czy w jakikolwiek sposób przywołane z milczenia, w którym je złożono. Wstyd, poczucie winy i lęk – oto trzy niechciane dary, które otrzymujemy od kultury i społeczeństwa, gdy łamiemy ich zasady, a więc robimy bądź mówimy coś, co uczynione lub powiedziane być nie powinno. Wydaje się, że w dzisiejszym świecie objawy te nie powinny występować zbyt często. Żyjemy wszak w kulturze przyzwolenia, w której zakres tego, co dozwolone, nieustannie usiłuje się poszerzać, by nie przysparzać dodatkowych zgryzot i niepotrzebnych konfliktów zapracowanym, a przy tym łakącym wolności i zadowolenia ludziom. Zawstyżeni, załękni i gryzieni przez sumienie nie byłiby wszak oni dobrymi pracownikami. Snując ponure rozmyślenia i tonąc w egzystencjalnych rozterkach, nie byłiby też, co gorsza, dobrymi, czyli zachłannymi konsumentami. Stąd też trzeba im pozwolić niemal na wszystko, byleby tylko pracowali i konsumowali bez wytchnienia, bo na tym świat Zachodu stoi i stać powinien nadal. Niechże więc folgują sobie jak chcą (po pracy), w końcu jakaś gratyfikacja im się należy za nerwy, pośpiech i nadmierne eksploatowanie ich życia. Niech opowiadają sobie świństwa i świństwa robią – o ile nie złamią prawa, to ich prawo. W istocie zatem można prawie wszystko, pod warunkiem iż nie godzi to w domniemaną omnipotencję innych ludzi, tym bardziej zaś w ich życie i zdrowie oraz nie narusza uświęconego porządku ekonomicznego, na którym spoczywa w niespokojnym śnie o powszechnym dobrobycie świat społeczny. Kultura i społeczeństwo nie mają wszak zakazywać, mają raczej chronić jak najdłużej przed skutkami złowieszczego mechanizmu: tam bowiem, gdzie wszystko wolno, musi się niezawodnie pojawić zmora lęku, że nic nie warto, a w związku z tym też poczucie, że nic się nie chce. Mają także zachęcać do samorealizacji i budowania siebie, w imię ideału autonomicznej i niepowtarzalnej jednostki, której wyjątkowość najlepiej się zresztą manifestuje w niepodrabialnej sekwencji konsumenckich wyborów. Choć nie tylko. Jak zauważa Hirszowicz, „ponieważ nowe warunki życia bardzo rozszerzyły skalę wyborów, uważa się, że życie człowieka zależy przede wszystkim od niego samego. Stąd też pojęcie samotworzonej autobiografii, które weszło do słownika socjologicznego. Sygnalizuje ono swobodne wybieranie zawodu,

środowiska, kultury i stylu życia. Ludzie mogą decydować o zasięgu swego wykształcenia, o zawodzie i instytucji, w jakiej chcą pracować, o religii, jaką wyznają i o kraju, w którym chcą spędzić starość. Przedmiotem wyboru staje się posiadanie rodziny, liczba dzieci, korzystanie z możliwości najmowania zastępczych matek, płęć partnera i sposób spędzania wolnego czasu...”² Śmiało więc człowieku – brzmi współczesne wezwanie – stawaj się sobą, kontroluj i projektuj swoje życie, eksperci i doradcy powiedzą ci, jak to zrobić, media zaś chętnie w dystrybucji ich wiedzy zauczestniczą – jest bowiem na nią popyt. Przecież stawanie się kimś, kiedy z natury jest się niczym lub prawie niczym, stanowi najoczywistszy obowiązek, od którego nie sposób się uchylić, a którego realizacja stanowi niedyskutowalną wartość. Innymi ludźmi z pewnością przejmować się nadmiernie nie ma ani obowiązku, ani potrzeby, dziś bowiem dla zrealizowanych ludzi sukcesu „prowizoryczność więzi i brak zobowiązań to żelazne reguły, którymi kierują się we wszystkich kontaktach i związkach”³. A nie należy także frasować się w żadnym razie kwestią tego, co dobre jest, a co złe, bo tu odpowiedź jest prosta i jasno wynika z powyższego: zawsze dobre jest to, co jest dobre w danym momencie dla ciebie. Tym samym nie powinno się zwracać uwagi na sztywne kodeksy moralne, totalitarnie roszczące sobie prawo do określania, co wolno, a co nie, bo stare są, zmurszałe i nieadekwatne, a nadto wielce dokuczliwe. Wierność zaś owym doktrynerskim i faryzejskim imperatywom jest archaiczna i politycznie niepoprawna: upierając się, iż wiem, co jest dobre, imputuje innym, równym przecież mnie pod każdym względem, że oni tego nie wiedzą. To bowiem, co charakteryzuje czas dzisiejszy, to fakt, iż „odrzucony został ideał wyrzeczenia, zastępują go: konsumeryzm, rozrywka, permissywność”⁴ i miast prawić o dobru, lepiej się zabawić, tak by w ostatniej godzinie móc powiedzieć sobie, że przynajmniej było wesoło. Ponadto trzeba pamiętać, że – jak niestrudzenie pouczał Foucault – w każdym dyskursie o dobru czy prawdzie skrywa się szpetne a bezwzględne dążenie do władzy. Kto nam więc mówi o moralności i związanym z nim wyrzeczeniu, ten w rzeczywistości chce nad nami panować. My zaś wolimy samowładność. Indywidualność, spreparowana własnoręcznie i własnomyślnie wyjątkowość stanowi tedy jedyną, czy też jedną z nielicznych, wartość co ostała się na pustkowiu pozostałym po wielkich narracjach. Wartość, która swą sugestywność i odporność na krytykę zawdzięcza temu, iż – jak się zdaje – posadowiona jest na instynktownym, przeto przyrodzonym każdej istocie, egoizmie i pragnieniu wpiętych przezycia, a później ekspansji. Posadowienie to jest na tyle mocne, że słabo słyszalne są obiekcje, między innymi wspomnianego już autora *Historii seksualności*, podług których owa idea w pełni autonomicznej i samostwarzającej siebie jednostki również jest moralnie i politycznie podejrzana. Wszak wmawiając jed-

² M. Hirsztowicz, *Stąd, ale dokąd? Społeczeństwo u progu nowej ery*, Sic!, Warszawa 2007, s. 171.

³ Z. Bauman, *Płynne życie*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007, s. 10.

⁴ M. Hirsztowicz, *op. cit.*, s. 172.

nostce, iż wszystko od niej i tylko od niej zależy, zarówno sukcesy, jak i porażki, odbieramy jej prawo do tego, aby za te ostatnie winiła choćby schorzałe systemy społeczne, polityczne lub ekonomiczne – choć wiadomo, że to te ostatnie właśnie częstokroć klęskę powodują. Byłaby więc koncepcja autarkicznego ja nie tyle przepustką do jego wolności, lecz raczej sposobem na to, by negatywną energię i złość rodzącą się w jednostce kierowała ona przeciw samej sobie jako wyłącznie i bezpośrednio za wszystko odpowiedzialnej, nie zaś na zewnątrz, ku światu. Byłaby też ona sposobem, w jaki reprodukuje i wzmacnia się system społeczny. Tak mianowicie, że jednostce proponuje się tylko takie formy budowania siebie, których realizacja podtrzymuje i konserwuje ów system. Trzeba wszakże zauważyć, iż inaczej jeszcze można interpretować ten pęd ku indywidualności, bardziej metafizycznie. I tak Simmel powiada: „W najróżniejszych aluzjach i maskach silne indywidualności wyższych kultur dają upust wrogości wobec sprowadzania ich do bycia zaledwie falą w nurcie przepływającego przez nie strumienia życia. Nie jest to w żadnym razie wyłącznie przesadna uzurpacja indywidualnego znaczenia, mania jakościowego wyróżniania się z masy, ale instynkt wyczuwający nie do pogodzenia antynomii życia i formy, lub, inaczej mówiąc, antynomii ciągłości i indywidualności. Decydująca nie jest tu bynajmniej specyfika osobowości, cechujące ją szczególne wartości czy niepowtarzalność, ale bycie dla siebie i w sobie indywidualnej formy w jej kontraście wobec ogarniającego wszystko nieprzerwanego nurtu życia”⁵. Wedle Simmela zatem pęd ku indywidualności nie byłby tylko modą, historyczną i przejściową, ani też jedynie społeczną formą dyskretnego kontroli jednostek służącej bardziej efektywnej ich eksploatacji, lecz czymś więcej: sposobem, w jaki ludzie próbują radzić sobie z przerażającą anonimowością i bezosobowością nieinteresującego się pojedynczością konkretnego Istnienia. I tak, na pewnym poziomie rozwoju kultury i rozwoju umysłowego ludzie rozpoczynaliby heroiczny bój przeciw owej bezosobowości, w imię zachowania siebie i zaznaczenia śladów swego krótkiego życia na bezkształtnym w gruncie rzeczy oceanie Bytu. Byłby to akt niezgody na bezduszny mechanizm przemijania i obracania się w nicie ludzi i ich dzieł, próba zaakcentowania, że się jakoś było i jest, inaczej niż inni, niewymienialnie, że zatem samoreprodukujący się układ natury nieodwołalnie i ostatecznie coś straci wraz z naszym unicestwieniem – zostanie w pewien sposób przechytrzony, okazana zostanie bowiem jego zawodność. I ta mała satysfakcja może stanowić swoistą konsolację dla istot nie tylko skazanych na zagładę, ale też muszących żyć ze świadomością tego wyroku. Jednakże – jak wspomniano – wątpliwości powyższe nie znajdują większego posłuchu wśród większości ludzi, którzy po prostu chcą być sobą, nie zaś wnikać w zawilość krytycznych teorii społecznych czy metafizycznych rozważań. Zresztą po prostu czują, że w jakiś niepoddający się konceptualizacji sposób są

⁵ G. Simmel, *Filozofia życia. Cztery rozdziały metafizyczne*, przeł. M. Tokarzewska, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2007, s. 28.

niepowtarzalni i wyjątkowi. Trzeba tylko dla owej wyjątkowości znaleźć odpowiednie środki wyrazu, by płynnie przeszła z potencji do aktu.

Tak tedy stwarzanie siebie stało się podstawowym moralnym i estetycznym zadaniem współczesnego człowieka. Kreować siebie można ze wszystkiego, co znajduje się pod ręką, pod warunkiem że ręka do tego łągnię i jest wyposażona w odpowiednią moc nabywczą – budowanie siebie wymaga bowiem finansowych nakładów. Wszystko zaś, co realizację tego zadania utrudnia, jest dokuczliwe i wstrętne, każde ograniczenie, na którym potyka się nasza autoplanistyka i samokontrola, stanowi skandal i kamień obrazy godny unicestwienia lub głębokiego ukrycia – poświadcza wszak bądź wadliwość projektu siebie, bądź słabość i nieporadność tego, kto próbuje go urzeczywistnić, bądź też podległość indywiduum bezlitosnym i niemożliwym do uchylenia regułom rzeczywistości, co temuż indywiduum także urąga. Owa indolencja i bezzadność są czymś wstydliwym i upokarzającym dla tych, którzy ich doświadczają. Christopher Lasch przywołuje w tym kontekście wyniki badań psychoanalityka Leona Wurmsera: „Tym, co pacjentki Wurmsera doświadczają jako wstydlive, jest ni mniej, ni więcej tylko przygodność i skończoność życia ludzkiego. Nie mogą one pogodzić się z tym, że ograniczeń nie da się pokonać. Zapis ich cierpienia pozwala nam zrozumieć, dlaczego wstyd tak ściśle łączy się z ciałem, które opiera się wysiłkom zapanowania nad nim i dlatego żywo i boleśnie przypomina nam o naszych nieuchronnych ograniczeniach, nade wszystko o nieuchronności śmierci”⁶. Słowem, wstyd wywołuje u człowieka „cokolwiek jest u niego naturą, [...] cokolwiek pokazuje mu jego zniewolenie przez prawa i konieczności nieczułe na jego chcenie”⁷. Oto mamy więc wstyd i cierpienie, które stanowią wszak osiowe objawy naruszania tabu. Owym zakazanym tematem okazuje się tu – paradoksalnie – sama ludzka kondycja podległa przypadkowości, przemijaniu, chorobom i śmierci. Krucha, chwiejna, niepewna siebie i podatna na zranienie. Upadająca i błądząca. W pewien sposób zawsze przegrana, pokonana przez czas, starość, życiowe wypalenie, ubytek sił, niemożność urzeczywistnienia swoich, a więc najlepszych, pragnień i nadziei, w końcu ogólne zniechęcenie. Wszak wyobrażenia i wizje zawsze sięgały dalej, niż była w stanie sięgnąć ich realizacja. Nieuchronnie tedy pozostaje niedosyt, cierpki posmak w najlepszym razie niepełnego sukcesu. A przecież miało być tak pięknie, osobowość miała rozwijać się bujnie niczym szklarniowy kwiat, zrealizowane pragnienia i zamysły miały stworzyć środowisko godne rozkosznego pławienia się w nim. A tu cóż? Nawet jeśli z jednej strony coś się udało, ciosy przyszły z innej, na ogół tej najmniej oczekiwanej. Bo oto, na przykład, w pracy, co prawda, dobrze, z finansami nie najgorzej, lecz cóż z tego, skoro zmarszczki obsypały twarz, na której i tak już wcześniej pojawiły się wątrobowe wypieki, w gardle suchy kaszel, a zmęczona głowa chyli się coraz bardziej ku zie-

⁶ Ch. Lasch, *Bunt elit*, przeł. D. Rodziewicz, Platan, Kraków 1997, s. 196–197.

⁷ *Ibidem*.

mi. Cóż po zawodowym spełnieniu, jeśli rozpadło się małżeństwo (jedno, potem drugie), ciężko zachorowało dziecko, pomarli rodzice i przyjaciele? Jak cieszyć się z realizacji własnych potencji, gdy w środku narasta poczucie osamotnienia, bycia niezrozumianym, emocjonalnie wyjałowionym, gęstnieje smutek i przynębianie, nie wiadomo zresztą skąd zjawione? A przecież któraś z tych rzeczy dopadnie w końcu każdego, nieuchronnie, nie ma życia, co by tym, lub innym, klęskom umknęło.

Zatem chcenie, by było tak a tak, bym był taki właśnie, a nie inny, traci, niczym fala, w końcu swój impet, rozbija się o skalisty, biały jak kości brzeg tego, co można, i tego, czego żadną miarą już nie. Tego drugiego jest zawsze więcej i jest bardziej ponętne, a jednak, niestety, nie udało się tego zdobyć – żal i szkoda. Trzeba to jakoś przetrwać w sobie, w ciszy wewnętrznej przestrzeni, na osobności. Przegrana, doświadczenie przydarzającego się zła są wprawdzie nieuniknione i uniwersalne, a jednak mówić o tym jakoś niezręcznie i ciężko. Tak jakby uchylało się kotarę, za którą znajduje się wstydlawe, pleśniawe i cuchnące zaplecze barwnego i lśniącego od frontu spektaklu życia. Nie godzi się przeto mówić o tym, co ciemne, by nie psuć zabawy innym współbiesiadnikom, by nie stracić uśmiechniętej twarzy i by inni też ich nie potracili. Tym bardziej że wiadomo, iż jakkolwiek udane i pełne blasku, łatwe i wygodne zdawałoby się ich życie, z jakichś tam powodów trapią ich złe sny i posępne przeczucia. Im mniej mówienia o mroku, tym więcej go przecież pod skórą. Jednak współczesny człowiek tak bardzo chce wierzyć, że leży w jego mocy odparcie wszelkich bied, iż otulił milczeniem wszystko to, co wiarę tę podważa czy wręcz ukazuje jako naiwną. Jest to bowiem niebezpieczne dla jego tożsamości, w której zakres wchodzi owa wiara w niemal nieograniczoną jego moc i ostateczne zwycięstwo nad ułomną naturą – swoją i świata. A ponieważ świadectw bezszy i klęski jest bez liku, zbiorowo dokonuje się wielkiego wyparcia, totalnego zamaskowania cienistych piwnic i ponurych zapleczy wpisanych w uniwersum ludzkich spraw. By wyparcie się udało, trzeba jeszcze tylko wszcząć tumult i gwar, „rozkręcić” towarzystwo, nadać mu pęd, prędkość i wymierne cele, tak by wśród nieustannego działania nie było czasu do namysłu. A jeśli mimo to ktoś chciałby być posłańcem złych wieści, trzeba mu odpowiedzieć zdecydowanie: Panu na razie dziękujemy, nie szarpie się brody Świętego Mikołaja.